Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 6. Poznań dnia 7. Maja. **1838.**

Literatura zagraniczna.

O pracach kr. towarzystwa przyjaciół północnych starożytności w Kopenhadze.

W przedostatnim numerze tygodnika literackiego donieśliśmy czytelnikom naszym, iż towarzystwo badaczów starożytności północnych nadesłało nam wraz z uprzejmym listem kilka pism dających nam poznać historyą, badania i prace towarzystwa, tak mało w kraju naszym znanego.

Głównym celem towarzystwa jest: wydawanie i wyjaśnianie pism narodów północnych, szczególniéj zaś takich, które na historyą język i starożytności północy nowe swiatło rzucić mogą. Wydawanie więc oryginalnych textów starożytnych pism, aby te od zagłady niszczącego wszystko czasu zachować, przekładanie tychże na powszechnie używane języki, szczególniéj na język niemiecki i francuzki, niemniéj wydawanie pisma peryodycznego, które ma na celu udzielanie szczegółów ściągających się do starożytności północnych uczonemu światu, głównem jest zatrudnieniem towarzystwa. Z starożytnych dzieł ogłosiło nasamprzód szereg tak zwanych Sagów z staronorwegskim i islandskim textem, wraz z tłómaczeniem łacińskiem i duńskiem. Sagi te tyczące się zdarzeń zaislandskich wyszły w trzech oddziałach: *Fornmanna Sögur* 1 — 12 *Bindi, Oldnordiske Sagaer* 1 — 12 *Bindi, Scripta historica Islandorum Vol.* 1. Po wydaniu już prawie zupełnem tych dzieł przystąpiło towarzystwo do niemniéj ważnego, do: *Groenlands historyske mindes maerker,* (Grenlandyi historyczne pomniki) 1 — 3. Zwiedzenie wschodniego brzegu Grenlandyi, uskutecznione staraniem rządu duńskiego, zwróciło uwagę na ślady i szczątki, które się jeszcze tamże od czasów dawnych europejsko-skandynawskich osad, znajdują. Pomniki i napisy odkryte niedawno w kraju samym, okazują, że starodawnych mieszkańców północy żegluga i osady, od południowego końca kraju aż do polarnych brzegów i wysp się rozciągały, tak, że Grenlandya nawet daléj na północ zamieszkaną była, niżeli późniejsze duńskie osady dochodzą. Towarzystwo wysłało kilku z swego grona w te niegościnne krainy, w celu zwiedzenia starożytnych licznych ruin, i poszukiwań na miejscu, odrysowania budynków i pomników starożytnych, zdejmowania napisów na nich się znajdujących, jako też miejsc i okolic sławniejszych. Odkrycia swe i badania zebrało towarzystwo w dziele, którego tytuł wymieniliśmy wyżéj, a które składać się ma z trzech głównych części: 1. cz. zawiera stare oryginalne powieści w języku islandskim albo ogólnym języku północnym; całkowite dzieła, niemniéj ułamki z pism, tyczące się starożytnéj historyi Grenlandyi. 2ga. Zbiór dawnych sprawozdań tyczących się geograficznego i fizycznego opisu tego kraju. 3cia. Nowsze sprawozdania i poszukiwania z szczególnym względem na pomniki czasów starodawnych Grenlandyi. *Nordisk Tidsskift* pismo peryodyczne przez towarzystwo starożytności wydawane, zawiera mnóstwo bardzo zajmujących artykułów; wymienię tu tylko następujące: Petersena o źrodłach do historyi duńskiéj; tegoż Odkrycie Islandyi, Paulsena o języku na półwyspie Jutlandskim i Finn, Magnusena artykuły, między któremi osobliwie zasługuje na uwagę »o handlu i wyprawie Anglików do Islandyi w 15tym wieku a szczególniéj o podróży Kolumba w r. 1477. Towarzystwo starało się dowieść już dawniéj, iż mieszkańcy Skandynawii na wiele lat przed Kolumbem znali Amerykę i że tę ziemię od dziko rosnącego wina Vinland nazwali. Badania w tym względzie wydaje obecnie kr. towar. star. w dziele: *Antiquitates americanae sive scriptores septentrionales rerum antecolumbinarum in America.*

Pan Alexander Humboldt, są słowa sprawozdawcy towarzystwa, który najlepiéj ze wszystkich dał poznać nie tylko stan fizyczny Ameryki, ale i historyą jéj odkrycia, przyznał, że pierwsi żeglarze, którym się istotnie odkrycie téj nowéj części ziemi zawdzięcza byli Skandynawcy; jakkolwiek wielu zna-

komitych pisarzy nowszych albo temu zupełnie przeczy, albo przynajmniéj o tém powątpiewa. Sławny ten badacz okazuje, że poszukiwania i podania historyczne tyczące się owéj pamiętnéj epoki odkrycia Ameryki są dotąd bardzo niedostateczne i wynurza życzenie, aby uczeni północni wydali zbiór dokumentów ściągających się do tego przedmiotu. Towarzystwo archeologów uczyniło temu życzeniu zadosyć; ostatnie poszukiwania wykryły prawie z pewnością, że kiedy Kolumb odwiedził Islandyę w r. 1477, opowiadano mu o odkryciu Ameryki przez Szkandynawców, i że to było jedną z głównych pobudek, które go nakłoniły do przedsięwzięcia swéj wiekopomnéj wyprawy. Okoliczność ta niezmniejsza bynajmniéj chwały męża, którego pamięć przetrwa wieki; ale historya równie nie powinna zapominać o jego godnych poprzednikach, co zwalczywszy niemniéj trudne przeszkody, bez wiadomości matematycznych, bez znajomości igły magnesowéj, bez map morskich płytkiemi łodziami puszczali się na wielki ocean dla szukania ziem nowych. Tym to sposobem odkryli i zajęli Islandyę w 9tym wieku, Grenlandyę w 10tym a następnie wiele wysp i brzegów Ameryki w końcu 10go i początku 11go wieku. Do ostatniéj téj, tak pamiętnéj epoki historyi powszechnéj, a jednak tak mało jeszcze znanéj, ściąga się zbiór, który ogłasza towarzystwo ile możności zupełny. Oparty jest na licznych i wybornych rękopismach znajdujących się po bibliotekach z tłómaczeniem na język duński i łaciński.

Damy tu rys tego, co rzeczony zbiór w sobie zawiera. Są to nasamprzód doniesienia historyczne Eryka Czerwonego i Grenlandczyków, ogłoszone i wydane pierwszy raz według książki znanéj w historyi starożytności pod nazwiskiem Flateyarbók, podającéj wiadomość o pierwszem odkryciu wysp i brzegów Ameryki przez Biare Herinlfsona i Leif Eryksona. Potem następuje Saga Thorfinn Thordsona, zwanego Karlsefne. Ta Saga bardzo interessująca zawiera doniesienia szczegółowe tyczące się podróży odbytych do Ameryki i pobytu w tym nowym świecie w przeciągu trzech lat przez Thorfinna Karlsefne i jego towarzyszy: rzuca więc ona całe nowe światło w przedmiocie tym tak mało znanym. Torfason miał tę Sagę za zagubioną, znał ją tylko z wyjątków pokaleczonych z historyi starożytnéj Grenlandyi, przez Björna Johnsona, wieśniaka islandskiego zostawionéj, takowa wydana teraz wychodzi po raz pierwszy w zupełności i poda czytelnikom wiele zupełnie nowych, a bardzo interessujących szczegółów.

Cena dzieła tego (65 ark. 18 wielkich rycin 6 kupfersztychów 8 facsimilów i t. d) wynosi 6 Dukatów.

Oprócz tego dla historyi powszechnéj tak ważnego dzieła przedsięwzięło towarzystwo ogłosić w r. 1739 już wygotowane pisma: 1) *Islendinga Sögur* t. j. islandskie źródła do historyi północnéj Europy i Ameryki od 9 — 14 wieku, i *Historyske fortaellinger om islaendernes faerd hjemme og ude* t. j. historyczne powieści o czynach mieszkańców Islandyi i kilka innych ważnych pism historycznych.«

Oto jest rys najważniejszych prac towarzystwa, które z taką gorliwością wyszukuje rozproszone po (dawnéj) Skandynawii pomniki starożytne. Związki przodków naszych z mieszkańcami dawnéj Skandynawii były bardzo ściśle. Oręż Bolesławów sięgał nieraz brzegów Skandyrawskich; nasi pobratymce Sławianie, zamieszkiwali niektóre wyspy Bałtyku. Z Skandynawii przejmowali przodkowie nasi wyobrażenia religiine, prawa i zwyczaje i wzajemnie udzielali swoich, jakto już uczony Czacki uważał. Śledzenia więc towarzystwa badaczów starożytności północnych wyjaśniające nie w jednym względzie dzieje pierwiastkowe naszych przodków, nie mogą bydź dla nas obojętnemi, owszem powinny one nas zachęcić do naśladowania w własnym naszym kraju tak chwalebnego przykładu; albowiem mała rzecz na pozór, częstokroć wiele przyczynić się może do wyjaśnienia lub sprostowania ważnych czynów historycznych, zwłaszcza w epoce grubéj pomroki, gdzie prawie wszystko na podaniach tylko i nadomysłach się opiera.

Dla tego też już i u nas znaleźli się mężowie, którzy śledzeń takowych poznawszy ważność, całe prawie życie im poświęcili; takimi byli Jan Potocki i Zoryan Chodakowski. Jakoż usiłowania ich nie były bez owocu, i pobudziły innych światłych mężów do poszukiwania pamiątek dawno upłynionych wieków i przekazania ich najodleglejszéj potomności. Idzie teraz o to, aby cały ogół przejął się ważnością takowych śledzeń, a wtenczas prędzéj będzie można ocalić każdy drogi zabytek, który najczęściéj wpadłszy w ręce nieświadomych, ulega zniszczeniu przez chciwość lub nierozsądek.

Literatura krajowa.

O dwonastu rozbójnikach.

(Powieść z gminnego podania, ze zbioru powieści gminnych wielko-polskich, w manuskrypcie).

I.

Nadobrzańskie okolice miejscami cudnie są piękne. Po wzgorzach nie dostrzeżesz ani latową porą,

ani z początkiem jesiennéj, śladu owéj rzeki, która z wiosną na dobry rzut oka zalewa okolicę. Bite kanały ściągając ostatek wody w swe łoża, odkryją ci przepyszne widoki.

Trawnik nieprzejrzany okiem, obwiany lekkim wiatrem i wonią macierzanki, posiany barwistem kwieciem, mile zmysły przynęca i łechce. Na nim obrazy, jakie z rozkoszą odbije w swojem zwierciedle tkliwe i rozmarzone serce kochanków; smętna, zbolała dusza nieszczęśliwego; a nawet prozaiczna myśl ekonomisty.

Tutaj kilku kosiarzy docina reszty potrawu; już im też czas odpocząć. Snać od dni kilku pracują, bo pot kroplisty rosi im czoła, bo kosy stępione ciąć nie chcą, więc raz po raz postaną, przeciągną krzyże i w takt poostrzą żelaza.

Owdzie na posiekówku bydełko niby ulane spoczywa, i szerokim językiem zmywa boki, na których kroplaby wody nie została; a źrebce wietrzniki pląsają na przegon ze sobą.

Stado owiec biega pod lasem za trawką, która się tu i owdzie zbłąkała; a barany podzwaniają na przodzie.

Tysiąc innych obrazów odmałowałbym po wyżynach obrzańskich: drugie tysiąc jeszcze rozmaitszych, ujrzysz przy spadkach, przy kotłach rzeki.

Tutaj woda nie da się ująć w kanały, ale rozlana w lewo i prawo, znaczy swoje granice warstwami piasku i tataraku. Najczęściéj jednak wcale jéj nie dojrzeć, bo gęste sitowie i płowa trzcina krajc brzegi i mielizny. Jesiennemi rankami dzdżysta mgła wisi nad niemi; ponad mgłą przeleci czapla; czasem gra stado żorawi lub gęsi, wędrujących długim rzędem do cieplic; inne stado kaczek i ceranek zapadnie na popas, a myśliwy wnet je wypatrzy i odbije kilku towarzyszy.

Taka jest Obra dzisiaj. Dawniéj zarosła olszami, łozami, trzciną, stanowiła ciemną, bagnistą knieję; trzęsawiskami zaległą, zamieszkałą od dzikiego zwierza i strachów! dziwne też w niektórych miejscach krążyły o niéj pogłoski!

Czasem pastuszek ubogi postrzegł w gęstwinie człowieka z długą brodą, kręconemi wąsami, plugawą suknią, długim nożem u pasa; raz po raz złupiono jakie pustkowie! raz po raz zniknął podróżny, który śmiał sam jeden przeprawiać się na drugą stronę, po wązkiéj grobelce, czepiającéj się wzgorków, wijącéj się pomiędzy krzakami.

Właśnie w połowie téj grobli, było ostrowie wyniosłe, suche. Na nim stał młyn wodny z ciosanego drzewa zbudowany. Strzegły go u okien żelazne kraty, u wniścia drzwi dębowe i czujne dwa kądle.

Na tyle stała szopka; koło niéj pieńki pszczół roboczych; świerki wysmukłe, kilka drzew owocowych, kilka zagonów warzywa, i łączka, uśmiechająca się świeżą zielonością z ponurych cieniów kniei.

Daléj krzewiła się leszczyna między grabami. Nieraz zbierała z niéj orzechy młynarczanka Basia, cudnego lica, wesołego serca. Usta jéj brzmiały od rana do wieczora uroczemi pieśniami; a nocą dopiero odzywały się po swojemu słowiki; a było ich pełne ostrowie.

Jeśli za pogody w niebo spojrzała, to się aż słońce zaćmiło od blasku jéj oka, nad którem były dwa łuczki hebanowe, szorstko napięte; każden pocisk z nich wypuszczony grzęznął głęboko w sercu!

Taką ją codziennie widywały posępne drzewa i śpiewne ptaszyny. Ale dzisiaj daremnie czekają na nią i na wesołe pieśni. Ojciec i matka poszli dzisiaj na jarmark; Basia sama doma została. Siadła do kądzieli, sukała wrzecionem, że warczało, niby cywie we młynie; a ona sobie duma, rozmyśla.

W samotności dziwne rzeczy na myśl przychodzą. Więc jéj się też przybaczyły owe powieści pasterskie o ludziach wąsatych, z długiemi brody, z nożami.

Młynarz słynie z zamożności; u niego pieniędzy kwartami, miodu na kilka beczek, i wszelkich zasobów, co nie miara! Cóż prędzéj obudzi chętkę rabusiów? Pomyślała Basia, i poszła zawrzyć drzwi sienne na rygle; ale psów zapomniała spuścić z łańcucha.

II.

Na dobrą milę od Karkiskiego Ostrowia ciągnął się prawym brzegiem Obry las dębowy, odwieczny, ciemny. Jedno ramie rzeki, ująwszy go w połowie bagnistym łukiem, przyciskało serdecznie do matki Obry i stanowiło wysepkę, przystępną chyba przebiegłemu zwierzowi.

Gdyby się jaki śmiały myśliwiec odważył pójść w trop za owym liskiem, który się każdą nocą skrada pomiędzy gęstwiną, ujrzałby się w najdzikszym, najskrytszym zakątku wysepki, ujrzałby przed sobą chatkę zapadłą, opodal owego liska strzyżącego uszami, chwytającego wiatr nosem, oblizującego się, jakby na zwietrzone ścierwo. Chętka drażliwa pociąga go bliżéj i bliżéj; ale go razi światło, błyszczące z okna chaty. Jeżeliś śmielszy myśliwcze, to się zbliż, zajrzyj przez okno. Zobaczysz tam w chacie stare babsko, wyschłe, wywiędłe. Z rozkoszą pogląda na sznurek czerwonych paciorków, któren trzyma w drzą-

cym ręku. Pewnie to będą prawe korale, bo im się dosyć napatrzyć nie może.

Przytoczyła się wreście bliżéj do komina, wzięła od ognia garnek wrzącéj wody, wylała go na miskę i wrzuciła w nią, sznurek czerwonych paciorków.

Zrumieniła, zaczerwieniła się woda, a sznurek paciorków zbladł jak mleko, bo się z nich zmyła krew skrzepła, i z owych prawych korali, zrobiły się prawe perły!

W téj chwili zawarczały dwa brytany u progu. Zakołatano do drzwi; stara je otworzyła; wszedł do izby człowiek sążnisty, okryty dziadoskiemi łachmany i zrzucił je na ziemię; za nim weszło innych jedenastu.

Brytany poskoczyły ku pierwszemu, wspięły się na jego piersi, polizały jego ręce i legły u drzwi, bijąc w ziemię potężnemi kitami.

»Cóż to chłopcy, tak prędko z jarmarku?« zapytała stara. »Będziemy mieli lepszy jarmark, matuchnu,« odpowiedział pierwszy zbójca, »młynarz z Karkisza jest w mieście z babą; doma została tylko córka, tam pieniędzy huk; na jarmarku człek zarobi mało, a ma strachu dużo!«

Stara kiwała głową, odradzała jak mogła, że na Karkiszu mocne drzwi i kraty, że na Karkiszu złe kądle, z któremi żartować darmo. Więc na kraty chwycili rabusie pałki, a zgwiznęli brytany, godne zapaśniki dla kądlów.

Spieszno idą gęstwiną. Snać, że świadomi drogi, bo chociaż noc już zapada, oni postępują pewnym krokiem, jakby po bitym gościńcu; bo chociaż bagno trzęsie się pod ich stopami, na dobre pół staja w około, oni skaczą z kępy na kępę, lekko a hyżo, jakby zrodzeni śród błót tych.

Za godzinę słyszą już szum wody przed sobą na ostrowiu. Turkotu kół nie słychać, więc młynarz jeszcze nie wrócił, powróci jednak co chwila.

»Trza się zwinąć z robotą!« wrzasnął najstarszy i poskoczył naprzód. Kądle zaszczekały gwałtownie; ku nim przypadły brytany, stanęły jak wryte, wyszczerzyły zęby; zgrzytają i warczą tylko; ale walki rozpocząć nie chcą, bo nie miały jeszcze takich przeciwników! Kądle śmiałe na swoich śmieciach, rozpocząć jéj nie mogą, bo mają na karku twarde obróże i grube łańcuchy.

Więc patrzą obustronnie na siebie, z najeżonym grzbietem, z wytężoną kitą.

Widać z zaiskrzonych oczu zbójcy, że się za swoje psy wstydzi; z tem większą tedy gwałtownością uderzył w dębowe drzwi pałką. Zadrzały szyby w oknach, ale drzwi nie zadrzały. Podwojono razy, połączono siły wzajemne; napróżno wszystko!

«Kiedy nie drzwiami, to podedrzwiami! »zawołał rabuś, i wnet zaczęto wyważać potężne kamienie i ziemię wygarniać z pod proga. Co chwila powiększa się otwór, a przy nim wzrasta kupa ziemi.

»Ja się już wmieszczę, koledzy!« rzekł najszczuplejszy ze wszystkich; włożył głowę, wlazł do połowy; drgnął na raz, cofnął się trochę, wierzgnął nogami; ale znowu popełznął i wlazł szczęśliwie!

Za nim się drugi bez zwłoki pakuje; temu trudniéj, bo grubszy; wcisnął się jednak do półowy, drgnął na raz, wierzgnął nogami, potem wlazł także.

Za nim trzeci, czwarty, aż do ostatniego dowódcy, któremu dziwno bardzo, że się każdy w połowie na chwilę zatrzymał. Ostróżnie tedy głowę pod próg podkłada, podnosi oczy w górę, aby zajrzyć do sieni.

Zajrzał, cofnął się nagle, — zapóźno! już mu strumień krwi trysnął z ponad czoła, zalewał mu oczy, ściekał na opadłe wąsiska, na suknią plugawą. Daremnie ręką oczy przeciera; nie tak prędko zabraknie krwi w jego ciele, więc coraz hojniéj płuży z szerokiéj rany wyciętéj na czaszce.

Przewiązał chustą głowę, pogroził ściętą pięścią młynowi; zabełkotał słów kilka, a każde słowo pierwéj nim z ust wyszło, skąpało się we krwi już skrzepłéj. Bez zwłoki rzucił się potem między zarośla. Brytany poszły w trop za nim; zawyły przeraźliwie, bo poczuły krew pana swojego.

Chwilę jeszcze słychać było chrzęst łamanych gałęzi. Potem cicho, — noc zaszła głęboka; księżyc spokojnie, pogodnie, jak owéj pierwszéj nocy w rajskim ogrodzie, poglądał z nieba na ziemię. Nie jedną widział zbrodnię; niejednemu opruszył snami błogiemi skroń uznojoną, niejednemu oświecał ciemną ścieżkę życia, w téj tu ziemskiéj wędrowce.

III.

»Bogu dzięka, że aby noc jasna!« rzekł młynarz do żony, powracając z jarmarku. — »Chciałamcić ja za dnia jeszcze wyjść z miasta, kiedy to u ciebie statku nie ma!« — »Moja kobieto, bo to tam widzisz był ten i ów, a człek z biedą kogo zobaczy, to się też raz chce i zabawić!« — »Tak, tak, a Basia czeka od rana, sama jedna!« — »Dyć ja to widzisz dla Basi, zostałem aż do wieczora w mieście. Był tam Stach z Łobza, a on się Baśce zaleca i chciałby ją pojąć.» — »Nie dla psa, kiełbasa!« mruknęła młynarka, »mnie wróżono, że do Basi zajeżdżać będą szóstkami, w złocistych karetach. Nie darmom ją też dzieckiem w mleku kąpała, nie darmom jéj zbierała

śnieg marcowy do mycia!» — »Nie pletłabyś kobiecino! kiedy ci dobrze na Karkiszu, będzie też dobrze i twemu dziecku. Ze Stacha gracki młynarczyk, oddam mu młyn w dobrym stanie i spocznę na stare lata. Czasem się też kamieni pokuje, które ojcu mojemu i mnie chleb dawały, a będzie nam wszystkim dobrze Marysiu!«

Byłby dłużéj gawędził, rozmarzony miódkiem Szymon, ale mu przerwało mocne psów szczekanie.

»To murzyn! rzekł słuchając z uwagą, »a on na wiatr, ani na słońce nie szczeka!«

Przyciągnął mocniéj pasa i przysporzył kroku. »A słowo stało się!« szepnęła młynarka i pocznie odmawiać pacierze.

Ledwie trzeci kończyła, kiedy już byli u młyna. Psy wyciągnąwszy łańcuchy, najeżały grzbietów; księżyc właśnie na drzwi zachodził i oświecał rozkopaną jamę, z okien nie widać światła.

»Źle żono! złodzieje! Baśku!« wrzasnął młynarz gwałtownie. »Tatynku, tatynku!« odpowiedziano z sieni, zaskrzypiały wrzeciądze, drzwi się z jękiem rozwarły.

Młynarz stąpiwszy na próg, uskoczył w tył, jakby mu kto oczy warem zachlusnął. »Chryste Jezu! co to jest! trupy! kto pomordował?« — »To ja, ojcze! ja. Oni przyszli, podkopali próg, włazili, jam toporkiem ucinała głowy!« wyjąkła u nóg ojcowskich w pół-martwa Basia.

(Dokończenie nastąpi).

Wyjątki z nieogłoszonéj dotąd drukiem Autobiografii Wybickiego.

Wyjątek drugi.

Moja młodość i wychowanie.

(Dalszy ciąg.)

Śmierć ukochanego mego ojca wpędziła mnie w ponurość i żal nieutulony; powróciwszy do szkół cały zajęty czytaniem żywotów świętych, postanowiłem zostać reformatem, który to zakon widziałem w szczególnem poważaniu u moich rodziców. Mój młody i rozpalony umysł rozumiał nawet widzieć i słyszeć do tego stanu powołanie nieba. Ciemnota zwykle w to miesza Boga, co jéj uprzedzeniu i zabobonności pochlebia. Zgoła niebyłbym waszym ojcem, gdyby to moje mylne powołanie roztropnemu Kapłanowi, stryjowi memu, księdzu archidyakonowi Pomorskiemu, niebyło przez reformatów samych przełożone. Tego nauka i roztropne przestrogi rozchwiały moje postanowienie, i zachęciły do kończenia nauk w retoryce. Trzy lata byłem w téj klassie; wiek mój młody niepozwalał mi jeszcze chodzić na filozofią i teologią.

Gdy już skończyłem lat piętnaście, zaczęła mnie ta szkolność, zawsze jednakowa, nudzić, a najbardziéj rozdrażniała mnie zuchwałość tyrańska księdza Działowskiego, professora. Pozwalał sobie w naszéj klassie takiéj dzikości, jak w infimie. Lubił on bić i z kańczugiem do nas chodził; oburzyłem się na to, i zaczynając już myśleć, stanąłem na czele moich kollegów, aby téj niewoli i hańby niecierpieć. Téj dziecinnéj charakteru insurekcyi opisywać niebędę, dość że była obrazą majestatu szkolnego, i ja klątwą szkoły od ciała uczniów odcięty zostałem, jako członek zaraźliwy. Poszła ta sprawa przed ważniéjszy trybunał księdza stryja, zawsze w Gdańsku, jako Officyała mieszkającego. Po danéj, jako młodemu naganie, byłaby klątwa za jego rozkazem zdjęta, ale mój stryj, kapłan prawdziwie oświecony, czuł dobrze próżność nauk téj szkoły, i chcąc, mnie jak wieki niosły, do oświeceńszéj oddać szkoły, przeznaczył mnie do kancellaryi Grodzkiéj, a potém Trybunalskiéj postrzegając we mnie dowcip, i do prawnictwa skłonność. Akademii żadnéj w kraju niebyło, gdy tymczasem w Niemczech prawie w każdém znaczniejszém mieście. Akademia krakowska tyle była znaną na Pomorzu, co Paryzka. Żadnego nam bowiem wyobrażenia nauk i szkół wyższych niedawano. Taki los był oświecenia publicznego! Z resztą ta wszechnica krakowska, która dopiero za panowania Stanisława Augusta cokolwiek się wzniosła, była dawniéj, jak ten odwieczny posąg, w którym przez podanie tylko bałwochwalcze, wielbiono dawne jakieś bóstwo, lubo w nim wieki i burze, twarzy i członków wszystkich zagładziły charakter.

Pojechałem zatem w piętnastym roku do Skarszew, tak nazwanego miasta, gdzie była kancellarya grodzka, pomorska i gdzie księdza Stryja było probostwo. Ten szanowny kapłan oddał mnie w dozór kommendarzowi swemu, aby miał oko na moje obyczaje i moralne postępowanie. Regentowi zaś kancellaryi, Płacheckiemu polecił prawa naukę; więcéj uczynić w kraju, w którym żyliśmy nie mógł. Powszechne mniemanie uważało kancellaryą, jako szkołę szlachetną, przez którą przejść musiała koniecznie młodzież przeznaczona urodzeniem do Rządu kraju i sprawowania wszelkich urzędów publicznych; zgoła kancellarya miał to być płonnik senatorów, posłów, sędziów etc. źródło wiadomości praw krajowych. Kto jak ja przez to przeszedł doświadczenie, i nad przeszłem zastanowić się umie, dziwić się nierządowi,

a potem zniszczeniu Polski mniéj będzie. Nasienie nieszczęść publicznych w tym gruncie edukacyi leżało. Jeżeli jak wspomniałem, pierwiastkowa edukacya młodzieży oddana była bez ograniczenia zakonnikom i dyrektorom, jak tutaj, samym tylko passyom i namiętnościom młodzieniec był poruczony. Nadzwyczajnym tylko przypadkiem, lub też szczęśliwém usposobieniem stało się, jeżeli młody człowiek, z tego, że tak powiem, złego powietrza moralnego, bez zarazy serce swoje uniósł, i nałogów najnieszczęśliwszych na całe życie nie nabrał. Co się tyczy nabycia wiadomości, te tylko przypadkowi, albo wrodzonym zdolnościom młodego, przypisać było można; sama szkoła dać ich nie mogła, bo żadnych prawideł, ani organizacyi nie miała.

Już tedy jestem kancellarzystą! To było hasło swawoli i rozwiązłości; szczęściem, że byłem pod okiem wielce moralnego kapłana kommendarza, Sztoba, i że wrodzoną miałem skłonność do pracy, i wielką chęć do nauk. W krótkim czasie nauczyłem się na pamięć accesoriów; miała to być książka elementarna prawnictwa. Postąpiłem co tylko najważniejszem, w aktykancyi; tem słowem barbarzyńskiem nazywano sposób pisania, czyli zapisywania, wszelkich czynności prawnych, między stronami zaszłych, albo z wyroku sądu. Dzień i noc męczyłem się na osobności, nad czytaniem statutów Herburta, i korrektury pruskiéj, niemając żadnego wyobrażenia ducha praw i jego zasad, nieznając różnicy między prawem natury, politycznem, cywilnem, kryminalnem i narodów. Wymawiałem prawa rzymskie, statuta magdeburskie jak papuga z zwyczaju, bo tak całe godne moje zgromadzenie czyniło. Z tém wszystkiem ksiądz Stryj po upłynionym roku znalazł we mnie znaczne postępy. Pan Regent okrywał mnie pochwałami. Przecież ja z méj strony skarżyłem się na ten sposób nauki księdzu Stryjowi, który i oświecony i majętny i do mnie wielce przywiązany, chciał mnie do akademii posłać za granicę. Ale moje przeznaczenie chciało inaczéj. Ukochany mój opiekun jeszcze w tym roku na moich rękach skonał. Téj straty niewynagrodziły mi wszystkie następne lata, i jeszcze dziś, gdy to piszę, żalem ściśnione serce, łzy wdzięczności roni, na pamięć mego najlepszego przyjaciela. On jeden życzył mi dobrze; on jeden umiał, i mógł mi uczynić wiele. Nie miał jak lat 5 [illegible] mnie osierocił. Był w kapitule kujawskiéj wi [illegible] owany, będąc już archidyakonem pomorskim [illegible] przez swoje oświecenie godnym téj powag [illegible] rawo do widoków dalszych w kościele. T [illegible] dla mnie okropny ścieśnił moje widoki. Ukochana matka pomimo swego najlepszego serca, nie widziała dla mnie szczęścia tylko w kancellaryi. Nabranie biegłości jak najprędzéj w prawie, zaczęły wymagać okoliczności, gdy familia Gotarłowskich i Jezierskich, już w ówczas w wysokim stopniu pieniactwa będąca, zaczęła czychać na nasz majątek. Wybrała do swego połowu, moment naszego sieroctwa. Brat mój starszy Joachim, zawsze do życia samotnego przywiązany, nie myślał jak tylko zostać kartuzianem.

Wypadło mi zatem koniecznie trzymać się kolei prawa. Lat szesnaście mając już po różnych sądach biegałem, gdzie nas pieniacze wyprowadzali. Nabierałem z doświadczenia coraz więcéj wiadomości praktycznych, tak iż w siedmnastym roku jako pierwszy kancellarzysta zacząłem stawać, czy, jak mawiano, odzywać się w sądach grodzkich i ziemskich. To było dość sławy na mój wiek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

K r y t y k a.

Rozbiór krytyczny dzieła Bronisława Trentowskiego, Dra filozofii, byłego Nauczyciela przy Gimnazyum w Szczuczynie, które wyszło w Karlsruhe i Freiburgu 1837. r. pod tytułem: Grundlage der universellen Philosophie.

Ważném nader w filozoficznéj literaturze zjawiskiem jest wzwyż przytoczone dzieło ziomka naszego. Nigdy dotąd Polak z nowémi w téj nauk sferze nie występował pomysłami. Filozofia tu i między małą tylko liczbą myślących upowszechniona, i na samém polegała obcych systemów naśladownictwie; za świetnych literatury naszéj czasów porówno z innymi wyprzędzaliśmy scholastycyzm, w nowszych zbieraliśmy pomysły po Anglii, Francyi i Niemczech. Możnaby o nas powiedzieć. co T r e n t o w s k i o ślepych zwolennikach tego lub owego filozofa powiedział, że karmiąc ducha, obcemi chcieliśmy trawić żołądkami. On pierwszy, choć nie na ziemi Polskiéj, i dla tego nie w narodowym języku, ale Polak przecie, w Polsce zrodzony, nauczony i uczący, wystąpił nie tylko z oryginalnémi pomysłami, ale z nowym onychże systematem, głębokim w myśli, strojnym w wyraz, jasnym, żywym w przeprowadzeniu. Po dokładném zbadaniu wszystkich, a mianowicie najnowszych filozofematów, a przy samodzielném zastanawianiu się nad rzeczą, dostrzegł nowéj prawdy, i wskroś przejęty dostatniego o niéj przekonania potęgą, z równym ją rozwija zapałem, uniesieniem i zarozumieniem, jak bez ogródki wykrywa i przedrzeźnia jednostronność, zarozumiałość, zabobon dotychczasowych mistrzów i uczniów filozofii.

Kiedy ta ogólna, polecająca się jest cecha dzieła P. Tr., rozważmy, o ile prawda przez niego wykryta i zbudowany na niéj system odpowiada takiemu, jakie autor ma o niéj rozumienia; jakie stanowisko zajmuje filozofia naszego szanownego ziomka do filozofii w ogólności; i czy jest wyrazem filozoficznego usposobienia Polaków.

W głównych zarysach przedstawiony czytelnikowi system P. Tr. posłuży i do bliższego poznania go i do osądzenia. Droga bardzo prosta, którą nas autor do nowego przybytku prawdy prowadzi. Pokazuje nam dotychczasowéj filozofii ciągłe rozdwojenie, wykrywa jednéj i drugiéj strony znamienie (kriterium) jednostronne, i z połączenia obu wy-

tacza prawdę. — I tak, zapatrując się na ostatniego stulecia filozofie, uważa, że wszystkie wychodziły albo z zasady zmysłowéj, albo czysto umysłowéj; to jest: że albo światu zewnętrznemu przypisywały prawdziwą, jedyną rzeczywistość, albo saméj tylko myśli. Leibnitz poszedł za myślą, Locke za doświadczeniem, Kant zastanawiając się nad istotą myślenia, doszedł, że z doświadczenia wszystko nasze wychodzi poznanie, ale ogólnych pojęć w niém nie dostrzegamy, które są przeto owocem samego rozumu. Kant zdawał się więc łączyć myśl i doświadczenie; lecz że wypadkiem jego filozofii było, iż owe rozumu kategorye, do poznania rzeczy zmysłowych zdatne, do pojęcia przedmiotów zazmysłowych zastósowanemi być nie mogą, pokazało się, że i Kant jest tylko realistą. Przeciwną dla tego zupełnie drogą poszedł Fichte; to jest: że aby poznać świat zazmysłowy, nie od zmysłów, ale od myśli w nas się objawiającéj brać początek poznania należy. Myśl się tu pojęła wyższą niżeli u Leibnitza, bo pojęła się jako wiedza subjektywna, ale właśnie dla tego wyłączyła z filozofii cały obszar zmysłowego świata, i znów stanął dawny przedział między realizmem i idealizmem. Szelling dostrzegł, że wyłącznie ani samym rozumem przez doświadczenie, ani samym rozsądkiem przez myśl do poznania nie przychodzimy, ale inną władzą ducha, w któréj się dwie poprzednie zlewają, t. j. duchowém wyobrażeniem (intellectuelle Anschauung.) Zmysłami patrzymy się na zewnętrzne kształty natury, rozsądkiem na wewnętrzną jéj siłę, wyobrażeniem na jedno i drugie w zjednoczeniu. Połączenie takie pokazało się tylko formalne, bo w wyobrażeniu leżą tylko obrazy, formy, a nie istota. Szukano teraz téj istoty. Szkoła filozoficznych naturalistów znalazła ją w naturze, Hegel i jego zwolennicy w myśli; jedni i drudzy starali się połączyć zewnętrzność i wewnętrzność, t. j. objekt i subjekt, ale w połączeniu tamtych sama tylko wyjawiała się widzialna natura, w tych tu myśl niewidzialna i znowu dawne rozdzielenie.

W takim stanie rzeczy autor nasz idzie za skazówką Szellinga i bada takiéj ducha działalności, coby myśl i materyą w sprzeczni z sobą trzymane, nie tylko formalnie, ale i co do istoty w nierozerwaném zjednoczeniu pojmowała. Ten cel mając na widoku uważa, że człowiek sam jest jednostką takiego stron przeciwnych przeniknienia się, ciała i duszy; że w rozwijaniu umysłowém sam najprzód jest realistą poznawającym same tylko zmysłowe wrażenia; potém idealistą, samodzielnie myślącym bez oglądania się na świat; a w końcu jednym i drugim, bo mądrość dojrzałego męża na połączeniu praktyki z teoryą polega. W człowieku objawia się chęć dociekania prawdy, jest to Bóg wiedzący się w jedności i dociekający zupełnego siebie poznania; — ten zaczątek filozofii Tr. jest przypuszczeniem mającém się w końcu uzasadnić. — Z tego powodu człowiek nie tylko chce, ale i może wszystkiego dociec, bo on jeden na całém stworzeniu docieka, a Bóg przez niego. Docieczone wszystko co do formy i co do istoty, wiedza całego obszaru materyi i myśli w nieskończoność czasu i miejsca, jest Prawdą. Prawda zatém może tylko być jedna; jest to wszystkość, jedność i całość razem; jest nieskończoność, wieczność i wszędzie obecność, jest to samo co Bóg. Wiedza także tylko jest jedna, i to samo co prawda, bo gdyby była różną od prawdy, nie byłaby wiedzą prawdy, a tém samém nie byłaby wiedzą. Filozofia jest tą wiedzą, a zatém jest prawdą, jest jedną zawsze, przeobrażającą się w coraz inne postaci, tak jak całe stworzenie jest jedno, ale w coraz świeżych kształtach. Każdy przedmiot dociekań ludzkich zasadza się na prawdzie, która, gdy jest filozofią, wszystkie przeto umiejętności i nauki zakreśla filozofia i wyjaśnia. — Dociekający prawdy znachodzi ją już w świecie zewnętrznym, i we wszystkich dotąd poczynionych docieczeniach podobnych mu istot, t. j. w naturze i w szkole; już w sile własnéj myśli. Jest to raz bierność, drugi raz samodzielność umysłu naszego; każda w wyłączni rodzi jednostronność, zawisłość albo od czegoś obcego, albo od własnych urojeń; połączenie obu w niezawisłość (Selbststaendigkeit) doprowadza do prawdy. — Bierność, samodzielność i niezawisłość umysłowa mają się do siebie jak prawda, wiedza, filozofia; wszystkość, jedność i całość. — W całości tylko prawda, a zatém filozofia także musi być całością czyli systemem (zob. oddziały 1—11).

Cały ten wstęp do systemu Tr. wypłynął z zaszłego już poprzednio a teraz dopiero rozwinąć się mającego połączenia rozdwojonych dotąd systematów, i dla tego nie tylko sam jego początek, ale cały musi być uważany jako przypuszczenie. Rozumiemy, żeby się temu było zaradziło, gdyby był autor definicyą prawdy, jak ją w dziale 3. oznaczył, za punkt wyjścia położył, która się w końcu i tak jako wiedza bezpośrednia wykaże, i z téj definicyi wykrył konieczność połączenia empiryi z idealizmem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd czasopismów.

Piąty poszyt Panoramy Literatury krajowéj i zagranicznéj, który wyszedł niedawno z druku, zawiera: literaturę niemiecką, obrazy Kaukazu p. Alex. Marlińskiego(?) badania historyczne Maciejowskiego, jak zostać w trzech dniach oryginalnym autorem, teatr, świątynia Janusa (powieść). Kronika literacka: Noworocznik dla dzieci, pierwiosnek etc.

Z obrazów Kaukazu przyłączamy mały wyjątek z ostatniéj stacyi pod starą Szamachą:

. . . . . »Przyprowadzają konie; noga w strzemię, batog w rękę, wjeżdżam na góry. Ziemia drzymie w objęciach nieba. Jakże ono piękne. Patrzę, i napatrzyć się nie mogę; bo czyż można wzrokiem nieskończoność wyczerpnąć! czyż można przesycić serce pięknością odwieczną i niezrównaną. Wieczor cichym skrzydłem swoim obwiewa rumieniec z lic zachodu. Otoż i noc hojnie rozsypała gwiazdy po niebios sklepieniu; błyszczą żywo, lecz tajemniczo, . . . to są myśli świata, wiecznie jasne, na wieki niezmienne; to pismo, w którém zaledwie słowo jedno docieklišmy, a tém słowem — Bóg.

Alić i księżyc zeszedł. Idzie nie idąc, to w kryjówkach z chmurami się bawi, to z gwiazdami goni. — Wiek tego starego niestałego fircyka jest bardzo dwuznaczny. Jedni mówią, że mógłby być dziadkiem ziemi, że kiedyś służył za kometę; tułał się jak wieczny żyd po całym świecie i zmieniał po drodze systemata światów, jak my systemata filozofii; że potém ustatkował się awansowany na planetę ziemi; włóczy się odtąd za nią, pali do niéj strzeliste akty swemi wulkanami, posyłając jéj w upominku aerolity.

Drudzy wspominają, że między planetami księżyc jest najmłodszy, że jeszcze nie wysypała mu się na brodę dojrzałość życia, a przeto goły jest i pusty; że się zamieni w kometę, oderwie się ze swéj drogi i kiedykolwiek wieczorem dowiemy się, że uleciał w 7me niebo lub w podróż dla ukształcenia rozumu. Biada wtenczas poetom, nie będzie przy czém wierszyka wysmażyć, nie będzie czém poematu okrasić!« etc. etc.

A. S.

Doniesienia literackie.

Dzieła sławnego Eichoffa: Porównanie języków Europy i Indyi, czyli wyłożenie ważniejszych romańskich, germańskich, sławiańskich i celtyjskich języków, ich porównanie z sobą i ze sandskryckim, wychodzi teraz w Lipsku tłumaczenie niemieckie.

Drugi tom dzieła Mundta, o którém wspomnieliśmy w numerze pierwszym, nosi nazwę: Niemcy w Francyi, listy do mieszkańca małego miasteczka, i wyjdzie wkrótce z druku.

Heine ma podobno wydać francuskie dzieło: La mèr du nord. Pracuje teraz nad swemi pamiętnikami.

W Alexandryi wychodzi co tydzień gazeta: Il Mercurio Egiziano, i kosztuje około 160 Złotych na rok. W prospekcie téj gazety wyrażono, że współpracownicy nie tylko wcale honoraryów otrzymywać nie będą, ale nawet jeżeli chcą swe artykuły widzieć wydrukowanemi, piaster od każdéj linii są obowiązani płacić.

Grillparzer napisał nową sztukę pod tytułem: Wehe dem, der lügt. Między żyjącymi dramatycznemi pisarzami Niemiec autor ten podług powszechnego zdania pierwsze zajmuje miejsce.

Numer dziewiąty Świata dramatycznego, wydawanego w Warszawie, ozdobiony jest portretem znakomitego artysty dramatycznego Kudlicza; wykonanym jest przez znanego z talentu Seweryna Oleszczyńskiego.

Z szóstym poszytem w Warszawie wychodzącego Światowida, ukończony został pierwszy tom tego pisma, zawiera kilka zajmujących artykułów i trzy ryciny. Światowid wychodzić będzie i nadal w poszytach dwuarkuszowych co dwa tygodnie.

Rozmaitości.

Kuchnia staropolska.

Sposób gotowania zmieniał się u Polaków tak jak wszystko inne. W najdawniejszych czasach była zapewne kuchnia narodowa słowiańska, która zależała na prostém gotowaniu i pieczeniu mięsa lub owoców. Za Piastów tę kuchnią zmienił nieco wpływ niemiecki; w początkach epoki jagiellońskiéj nasiąknęło troche smaku oryentalnego, a późniéj szło wiele od Włochów; nakoniec pod Wazami i Sobieskim wcisnęła się jak wszędzie i do kuchni francuzczyzna.

U ludzi bogatych w Europie było od wieków i jest jadło europejskie, to jest wybór potraw całego cywilizowanego świata, jednakże to jadło w każdym kraju nosi piętno narodowości. Kuchnia jest wieloraka w stósunku stanu albo raczéj funduszu osób. Pod względem kuchennym chłopami zaprzątać się nie myślimy i rzucamy się wprost na stronę przeciwną. Kuchni staropolskiéj pańskiéj największą cechą była obfitość w mięso, a zupy czyli po staremu polewki, potrawy mączne, mleczne, warzywa i owoce podrzędną w niéj grały rolę; że bardzo rozmaicie i dobrze doprawiała ryby, że nieszczędziła najtęższego korzenia, lubiła szafran, a ocet uważała za elixir smaku i życia ludzkiego.

Do czasów Sobieskiego myślano w Polsce o rzeczach ważniejszych, jak o przysmaczkach, dla tego nie było autora kuchennego i wcześniejszych potraw nie znamy dokładnie, choć wiemy już, że Bolesław Chrobry wiele jadał zwierzyny, jak pisze Gallus. Wiemy także o uczcie Wierzynka i różnych królewskich godach. Pierwszy dopiero Stanisław Czerniecki, Sekretarz Jego królewskiéj Mości, a mimo ten urząd i kuchmistrz pana Alexandra Lubomirskiego, Wojewody krakowskiego, wydał r. 1682. w Krakowie u Schedlów Compendium Ferculorum albo Zebranie potraw. Ten pisarz znakomity, którego dzieło wielokrotnie przedrukowano, który do ostatnich czasów Rzeczypospolitéj był domowym nauczycielem nadprababek i babek naszych w szlachetnym kunszcie dysponowania lub gotowania obiadów, będzie w całym artykule przewodnikiem. Polewki mięsne staropolskie były główne dwie, to jest rosoł polski a po staremu przed Sobieskim kaszanat jeszcze dzisiaj zwyczajny. Pod ten rosoł dawano kaszę, kluski, groch i różne rzeczy, a szczególniéj figatele, o których niżéj powiemy. Drugą główną polewką był rosoł węgierski: robiono go ze zwierzyny lub drobiazgu ze słoniną krajaną w talerzyki z masłem, pieprzem, imbierem, czosnkiem, pietruszką; pod rosoł węgierski dawano zawsze tylko grzanki z chleba. Barszcz królewski był zupą postną: składał się z kwasu mącznego, ryby, kaszy tatarczanéj i był doprawiony tylko kminem. Barszcz cytrynowy był mięsny i postny, to jest rosoł doprawiano żółtkami jaj i cytrynami. Na zupy postne dawano polewki migdałowe, kaporowe, mleczne, cebulowe, grzybowe z soczewicy, grochu.

Dzisiaj bulion czy świeżo ciągnięty, czy suchy, jest pierwiastkiem albo podstawą kardynalną sosów, a przynajmniéj w kuchni równie ważnym punktem, jak twierdzenie Pytagoresa w jeometryi prostokreślnéj; dawniéj to miejsce zajmował tak zwany gąszcz. Gąszcz mięsny był wywarem rozynków, marchwi, pietruszki i jabłek kwaśnych, albo kwaśnego chleba; gąszcz postny ciągnięto z rozynków lub fig gotowanych z winem i przebijanych przez sito; podlejszy gąszcz postny robiono z wywaru cebuli z marchwią lub inną ogrodowiną.

Lubo wszelkie jadło nazywa się potrawą, przecież uczeni pod tym wyrazem w ściślejszém znaczeniu rozumieją jadło mięsne ze sosem, a po staropolsku ze saporem. Między potrawami w tém ściślejszém znaczeniu główniejszą była potrawa z miodownikiem: mięso większéj zwierzyny moczono w occie dobrze osolonym, potém gotowano w occie z solą ale wodą zwolnionym; dodawano dopiero miodowniku tartego na tarce lub przebijanego przez sito i nareszcie wina, cukru, rozynków, migdałów, pieprzu, szafranu, cynamonu, limonii. Potrawa szara mogła być z wielkiéj zwierzyny albo z wszelkich domowych zwierząt prócz wołu. Brano mięso, gąszcz, ocet, cukier, rozynki, limonią, oliwki, pieprz, imbier, cynamon, sol i z tego wszystkiego sos ciągnięto. Potrawa królewska była z cielęciny lub ptastwa, a robiła się tym sposobem, że odgotowane mięso doprawiano gąszczem, octem, cukrem, szafranem, pieprzem, cynamonem, wielkimi i małemi rozynkami, limonią. Potrawa z juszycą czyli czarnina i potrawa z powidłami były takie, jak i dzisiaj. W potrawie rumiannéj dawano cąbry, żubrze, łosie, bawole, jelenie, daniele, sarnie, albo wieprzowinę, skopowinę, gęsi i t. d. Robiono ją tym sposobem, że mięso moczono w occie solonym, potém gotowano w innym occie; po zawrzeniu znowu gotowano w pierwszym occie. Tym czasem ukrajano cebuli w talerzyki, pietruszki w kostkę, naprzód przesmażono, a za włożeniem mięsa dodano wina, cukru, rozynków, oliwek, pieprzu. Potrawa węgierska była z drobiu lub cielęciny, a ze sosem ciągniętym z rosołu, pietruszki, cebuli, słoniny, octu, pieprzu, szafranu, cukru i rozynków. Limonata była także potrawa z cielęciny lub drobiu, któréj sos robiono z rosołu, masła, chleba tartego, limonii, szafranu, pieprzu, cukru, gałki, cynamonu. Brazele była potrawa z wołowego mięsa, które moczono w occie, pieczono na ruście, potém doprawiano w rynce z łojem, rosołem, octem, pieprzem, imbierem i gałką. Miskolancya składała się z kapłonów, cielęciny, i innych mięs, które pieczono a potém smażono w rynce z jabłkami, grzybowym sokiem, cebulą, pietruszką, masłem, pieprzem i gałką.

Trudno przechodzić wszystkie doprawiania mięsne ze sosem; byłaby to nudna zabawa, sto ich wyliczać, a w reszcie przez kombinacye pierwiastków kuchennych dawały się już przed kilkuset laty na tysiące rozmnażać. Należy tylko spomnieć o kontuzie: była to potrawa głównie dla chorych; Francuzi dzisiejsi nazywają ją la puré (przecierka) a robi się z kurcząt gotowanych na miazgę i tartych przez sito.

(Dokończenie nastąpi.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*